Nr 44. We Lwowie dnia 31. października 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Stanisław Moniuszko.

(W ćwierć wieku po zgonie).

W roku bieżącym obchodzi społeczeństwo polskie ćwierćwiekową rocznicę śmierci Stanisława Moniuszki Zeszłego mies ąca święciła Warszawa, a z końcem przyszłego tygodnia i w przyszłym miesiącu święcić będą uroczyście lwowskie towarzystwa muzyczne pamiętną tę rocznicę.

Moniuszko, syn Czesława i Elżbiety z Madżarskich, urodził się 9. maja 1819 w Ubielu na Litwie. Data jego śmierci przypada 4. czerwca 1872, ze względu jednak na letnią porę towarzystwa śpiewackie odłożyć musiały pamiątkowe obchody na porę jesienną. We Lwowie początek zrobi dziś „Echo“, wykonując nieznaną we Lwowie, w rękopiśmie istniejącą operę komiczną „Bettly“ Moniuszki, „Lutnia“ wykona na I. koncercie balladę do słów Mickiewicza z muzyką Moniuszki „Pani Twardowska“, zaś Towarzystwo muzyczne urządzi stosowny obchód w pierwszych dniach grudnia.

I godzi się święcić uroczyście wszystko, co w jakikolwiek sposób łączy się z życiem i działalnością tego narodowego poety-muzyka, godzi się czcić pamięć tego, który stworzył operę narodową polską, tego, który dał społeczeństwu naszemu „Halkę“, dał „Straszny dwór“ i wiele, wiele innych przepięknych dzieł muzycznych.

W dziełach, w twórczości muzycznej Moniuszki odbija się z drobiazgową dokładnością własne jego ja. Prostota formy, prostota w użyciu środków technicznych, najzupełniej odpowiadają skromnej i bezpretensjonalnej osobistości tego śpiewaka z bożej łaski. A przytem, tak w dziełach, jak w życiu nieprzebrana głębia uczucia; porywający liryzm naprzemian z ujmującą rubasznością, wrodzona kontuszowa zamaszystość, odziedziczona z dziada pradziada, spływa w harmonijną całość z niekłamanem uczuciem i zrozumieniem doli i niedoli prostego ludu. Równie prawdziwe, dalekie od wszelkiej wyszukanej kunsztowności, z serca płynące są dziarskie, rycerskie dźwięki w szlacheckim „Strasznym dworze“, jak pełne prostoty, a porywającej melodji i szczere w uczuciu śpiewy Jontka i Halki. Któż ich nie zna, a kto poznawszy zapomniał! Wszakże serdeczne te nuty to inkarnacja Moniuszki, porywające te melodje to swojskie, tak swojskie, że obcy nie zawsze je pojmie, ale też nikt ich naśladować nie jest w stanie. To też prawie pół wieku minęło od chwili, gdy Moniuszko stworzył najpiękniejsze swe dzieła, a na świeżości nic one nie straciły i nigdy nie stracą.

Twórczość kompozytorska Moniuszki była olbrzymią. Oprócz kilkudziesięciu utworów religijnych, napisał szereg kantat, z których wyróżnia się „Milda“. Znane są również szerokiemu ogółowi „Sonety krymskie“ i „Widma“.

Oper napisał Moniuszko ogółem 18, z tych dotąd utrzymały się na scenach obok „Halki“ i „Strasznego dworu“, „Flis“, „Hrabina“ i „Verbum nobile“)

Również i w muzyce baletowej próbował Moniuszko swych sił („Figle szatana“, „Monte Christo“ i „Na kwaterze“).

Najpłodniejszym był jednak jako kompozytor pieśni. Stworzył ich około 250, z których wielka liczba stanowi po dziś dzień główny podkład polskich śpiewników. Moniuszko był pierwszym muzykiem polskim, który motywa czerpał z skarbnicy pieśni ludowej. Temu też zawdzięcza jego muzyka odrębny, ujmujący koloryt, temu zawdzięczają dzieła jego, że stały się własnością ogółu i zawsze są piękne, świeże i nowe.

Nie kunsztowną formą, nie wyszukaną drobiazgowością w obrobieniu szczegółów celują utwory Moniuszki, lecz głębią i prostotą serdecznego uczucia, a to właśnie zapewnia im po wsze czasy niezliczone zastępy wdzięcznych słuchaczy i wielbicieli.

Stanisław Meliński.

Kartki naukowe.

ŚWIATŁO BJOLOGICZNE.

„Gdy tylko słońce zniknie z widnokręgu, natychmiast nowe światło tryska z łona Oceanu i zapala nagle jego powierzchnię. Rzekłbyś, że Ocean w cieniach nocy usiłuje zwrócić potoki światła, które pochłonął za dnia. Owe światło nocne nie rozlewa się jednostajnie po płaszczyźnie wodnej, lecz ukazuje się tu i owdzie, jako gromada punkcików, które nagle się zapalają i migocą. Gdy morze jest bardzo spokojne, to powierzchnia jego okrywa się żywemi iskierkami, wśród których kołyszą się kapryśne błędne ogniki, oraz błyszczą drobniuchne słońca. Lecz na wzburzonem morzu zjawisko to potężnieje; wydaje się wówczas, że pożar ogarnął fale: pieniąc się i kipiąc, wznoszą się one wysoko i rozsypują dokoła płatki iskrzącej się piany. Przy każdem uderzeniu wiosła tryskają z Oceanu strumienie światła, a koła statków parowych ciskają w powietrze ogniste snopy“.

Zkąd ten pożar, płonący na Oceanie wśród burzliwej nocy? Zkąd owe gwiazdeczki i słońca, iskrzące się na lustrzanej powierzchni wody?

Światło to tryska z żyjących istot morskich, niezliczone roje których zapalają się w nocy i są przyczyną najpiękniejszych zjawisk morskich. W morzu żyje wiele gatunków zwierząt, które obdarzone są dziwną własnością wytwarzania w swych tkankach światła, ale iskrzenie się morza pochodzi głównie od drobniuchnych przeźroczystych kuleczek, zwanych świetliczkami. Istotki te zaliczają się do najniższych zwierząt, a budową swą najwięcej zbliżają się do wymoczków. Pływają one tak licznemi gromadami, iż cała powierzchnia morza wydaje się płonącą.

Od świetliczek zależy także inne zjawisko, zwane morzem mlecznem. Powierzchnia morza staje się wówczas podobną do olbrzymiej równiny, okrytej śniegiem, bielejącym przy blasku księżyca.

Świetliczki wydają obfite światło wtedy tylko, gdy woda się porusza, dlatego to za płynącym statkiem widać jasną smugę, ciągnącą się jak ogon komety; dlatego to iskrzenie się morza bywa najwspanialszem podczas burzliwej nocy.

Z pojawieniem się brzasku porannego, światło morza gaśnie, świetliczki płonąć przestają, a zapalają swe ogniki dopiero następnego wieczora.

Chociaż świetliczki są główną przyczyną iskrzenia się czyli fosforescencji morza, jednakże do zjawiska tego jednocześnie przyczyniają się często świecące bakterje, oraz meduzy, robaki, osłonnice i inne zwierzęta morskie, pływające na powierzchni wody; zwłaszcza zasługuje między niemi na uwagę iskrzyłuda. Iskrzyłuda ma kształt walca, dochodzącego niekiedy do dwóch metrów długości; dodajmy jednak, że ów walec nie jest pojedyńczem zwierzęciem, lecz jestto ogromna kolonja, złożona z kilkudziesięciu tysięcy drobniuchnych zwierzątek, zrośniętych ze sobą, a każde z nich posiada dwa świecące punkciki. Niezwykle pięknym jest widok, gdy cała kolonja zapłonie nagle tysiącami ogników.

Nie sądźmy jednak, aby zwierzęta świecące żyły wyłącznie na powierzchni wody; przeciwnie światło bjologiczne rozlewa się bardzo obficie w rozmaitych głębinach morskich; znaleziono nawet mnóstwo świecących zwierząt w najciemniejszych otchłaniach morskich.

W wielu miejscach dno morskie gęsto porosłe bywa krzakami polipów, z których promienieje różnobarwne światło. Oto jak opisuje te przedziwne korale przyrodnik Folin:

„Świeżo złowione w morzu krzaki polipów wniesiono do laboratorjum, gdzie pogaszono natychmiast wszystkie światła. Gdy w sali zapanowała zupełna ciemność, ujrzeliśmy natychmiast cudowne zjawisko, najpiękniejsze, jakie oko ludzkie kiedykolwiek oglądać mogło. Ze wszystkich gałęzi i gałązek polipników, tryskały strumienie światła, a blask jego to słabnął, to znów się ożywiał, przechodząc przez wszystkie możliwe barwy: od fioletowej do purpurowej i od czerwonej do pomarańczowej. Następnie niebieski kolor nieznacznie zmieniał się w zielony rozmaitych odcieni: niekiedy światło przybierało blask biały, jak mocno rozpalone żelazo. Zasadniczą atoli barwą była zielona, inne ukazywały się tylko na chwilę, jak błyskawice i raptownie zlewały się z barwą zieloną“.

„Trudno wyobrazić sobie coś równie pięknego, najwspanialszy nawet fajerwerk nie może być porównanym z tem wspaniałem zjawiskiem. Czy nie jest to zdumiewające, iż te drobniuchne istotki tak są uorganizowane, że ciało ich wydaje światło, którego blask naśladuje fajerwerki, światło elektryczne, niemal światło sło-

neczne. Aby dać pojęcie, jak wielką była siła tego światła, dodajmy, że sala laboratoryjna miała przeszło 6 metrów długości, a jednak w najodleglejszych jej punktach mogliśmy czytać pismo o drobnym druku, jakgdyby w biały „dzień“.

Niestety, zjawisko niedługo trwało: życie stopniowo uchodziło z tych zwierzątek, żywość blasku słabła z każdą chwilą, ognie gasły wraz z życiem polipów, po upływie kwadransa polipniki stały się ciemne, jak suche gałązki.

Wspomnieliśmy już, iż na dnie morza krzaki polipów tworzą istne żywe laski. Cóż to za uroczy widok być musi, gdy z mnóstwa krzaków naraz bije różnobarwne światło. Niestety, nie możemy widzieć tych cudów, ukrytych głęboko, a wnioskować o nich możemy jedynie badając w pracowniach świecące zwierzęta, które za pomocą sieci wydostają z głębin morskich.

Atoli badania zwierząt głębinowych są zupełnie świeżej daty, gdyż rozpoczęły się dopiero w drugiej połowie naszego stulecia. Wielkie przeto było zdumienie uczonych, gdy z głębin morskich wydobyli nieznane gatunki zwierzęce, zadziwiające pięknością swych kształtów, oraz jaśniejące promienną aureolą. Do takich cudów dna morskiego należy między innemi wspaniała gwiazda morska, zwana Brisingą, wprawiająca zawsze w zachwyt przyrodników, którzy widzieli ją żywą. Gwiazda ta ma dwie stopy w średnicy, jest czerwonej barwy, otoczona dziesięciu długiemi ramionami, wijącemi się, jak koralowe węże; cała zaś skóra gwiazdy silnie błyszczy w wodzie. Brisinga zamieszkuje rozmaite morza, między innemi Śródziemne i, jak przypuszczają, żyje wielkiemi gromadami w niektórych miejscowościach. Wyobraźmy sobie, teraz jak się przedstawia dno morskie, po którem owe zwierzęta wolno pełzają, rozlewając dokoła silne światło.

A ileż to innych zwierząt świecących kryją przepaści morskie! Przypuszczają nawet, że od mnóstwa świecących pierwotniaków ukrytych w mule, dno wielkich głębin morskich rozlewa wciąż łagodny blask. A nie tylko niższe zwierzęta głębinowe, lecz nawet raki i ryby wyrzucają ze siebie potoki światła; mają one na głowie i na bokach ciała szczególniejsze przyrządy, które jak istne latarnie świecą w przepaściach morskich, tak głęboko ukrytych, iż żaden promień słońca nigdy się do nich nie przecisnął.

Dzięki światłu bjologicznemu zwierzęta głębinowe nie są pogrążone w wiecznej nocy.

Nie ulega wątpliwości, że światło bjologiczne przynosi zwierzętom wieloraki pożytek.

1. Oświecając dokoła siebie przestrzeń, zwierzęta ułatwiają sobie szukanie pokarmu, zawiązywanie stosunków z innymi osobnikami, odróżnianie nieprzyjaciół i niebezpieczeństw.

2. Za pomocą światła wabią ku sobie inne zwierzęta, któremi się żywią.

3. Światło jest środkiem ochronnym, gdyż odstrasza niektóre zwierzęta, które mogłyby stać się niebezpiecznemi dla danego gatunku. Wprawdzie światło bjologiczne może być i niekorzystnem dla niektórych zwierząt, odkrywając nieprzyjaciołom ich obecność.

Mówiliśmy dotąd jedynie o świecących zwierzętach i roślinach morskich, dlatego że morze zawiera największą liczbę świecących się gatunków zwierzęcych. Na lądach iskrzących się zwierząt jest nierównie mniej, a między roślinami zbadano dokładnie świecenie się niektórych grzybów (*Agaricus melleus i A. olearius*).

Co do zwierząt lądowych, to najwięcej świecących gatunków znajduje się pomiędzy owadami, a najznakomitszemi pod tym względem są dwa rodzaje chrząszczów: nasz świetlik świętojański oraz świeciele amerykańskie, promieniejące silniejszem światłem, niż nasze świetliki.

Pożytek jaki ludzie osiągają ze zwierząt świecących, jest niewielki, wspomnijmy jednak, że świeciele amerykańskie służą do oświecania mieszkań ludzkich, używane były jako sygnały w walkach Indjanów, jako wabiki przy rybołóstwie, jako postrach na zwierzęta szkodliwe; dostarczały również światła przy zdjęciu klisz fotograficznych, wreszcie służą jako ozdoba w biżuterji i strojach kobiecych. Panie amerykańskie ze świecących chrząszczów noszą kolczyki i naszyjniki, a na balach stroją świecielami swe suknie i włosy; podobno czarodziejski blask tych owadów wysoko podnosi wdzięki niewieście.

Dr. M. Stefanowska.

Eliza Orzeszkowa.

SITECZKO.

Co jej się stało? Jezus Marja! Co jej się stało? Dlaczego ona krzyknęła, zemdlała, a gdyśmy ją otrzeźwili, taką była zmartwioną i przelęknioną? Nie wiem, nie rozumiem. Może pan zgadnie. Trzebaż wypadku, że pan tu wszedł, jak raz w tym momencie, kiedy ona krzyknęła: „Tatku!“ i zemdlała. Jakim ona głosem krzyknęła! Prawda! Aż mię w serce ukłóło, aż podemną nogi się zatrzęsły! Takim głosem krzyknęła, jak gdyby

stracha przed sobą zobaczyła, albo jak gdyby ktoś nagle nożem po sercu ją ciął? Prawda? Co jej się stało? Nie wiem. Może pan zgadnie... Mnie ten wypadek bardzo martwi, bo tę panią znam od dzieciństwa... Ach, jak to szczęśliwie, że były przy tem dwie moje panny i że pan wszedł, bo są przynajmniej świadkowie, że ja nic złego jej nie zrobiłam, a gdybyśmy były tylko we dwie, lękałabym się, aby nie posądzono, że to z mojego powodu... Ona nie! ona pewno nic złego zrobić-by mi nie chciała. Gdzież tam! serce zawsze miała dobre i znamy się od tak dawna; ale jej mąż, taki znakomity i możny człowiek, jednym palcem zgnieść-by mógł taką, jak ja, biedną kobietę... Szczęście, że miałam świadków... ale jestem bardzo zmartwiona i dziś wieczorem muszę pobiedz do niej, dowiedzieć się, czy czasem nie zachorowała. Pan wie, jak ona się nazywa i kto jest jej mąż, a kto ona z domu? Zaraz, zaraz powiem, wszystko opowiem, tylko spojrzę na moje panny, czy prędko już sukienkę córeczki pańskiej wykończą, bo nie trzeba przecież, aby pan długo czekał...

Za kwadrans, może za dwadzieścia minut będzie gotową; byłaby już gotową, gdyby nie ten wypadek, który nam trochę czasu zajął. Czasu zawsze niewiele mamy, bo roboty jest dużo, nawet na kilka szyjących panien zadużo.. chwała Bogu... Niechże pan będzie łaskaw usiądzie sobie tymczasem na tym fotelu. Sukienka za kwadrans będzie..

Ach, mój Boże, jak jestem zmartwiona tym wypadkiem! Widzi pan, ja u jej rodziców dwanaście lat służyłam. Młodą dziewczyną dostałam się do nich i u nich nauczyłam się wszystkiego, co umiem i z czego teraz chleb jem. Dobrzy byli ludzie, niech im Bóg Najwyższy da swoją światłość niebieską... zacni byli ludzie, on szczególniej, bo ona, choć bardzo dobra, miała trochę próżności i może już zanadto lubiła wygódki, zabawki, stroiki.. Ale to mała rzecz. Zresztą oboje byli zacni i bardzo dobrzy. Jedną tylko córeczkę dał im Pan Bóg, oto tę Bronię... Kiedym się do nich na służbę dostała, miałam szesnaście lat, a Bronia trzy, może cztery. Przed oczyma mojemi to rosło, na moim ręku, można powiedzieć, że na ręku wszystkich, bo wszyscy we dworze, od samych państwa aż do najpośledniejszych sług, przepadali za nią. Dziecko było ładne, ale więcej jeszcze miłe. Żywa jak iskra, gadatliwa, jak czeczotka, wiecznie śmiejąca się, szczebiocząca, całująca, przylepka, umizgalska; wszystkich rozweselała, nikomu bez niej życia i wesołości nie było. Państwo nie byli bardzo bogaci, ale też niczego im nie brakowało. Majątek, nie ogromny, ale i nie mały, dwór obszerny, sług dużo; dziecko we wszystko opływało: matka stroiła je, ojciec uczył. Od samej maleńkości uczyć je zaczął: na kolanach, bywało, posadzi, różne historje opowiada, obrazki pokazuje, a że moja służba taka była, iż prawie ciągle około państwa kręcić się musiałem. więc mnie także przysiąść każe, jeszcze innych służących zawoła, i razem z Bronią uczymy się wszyscy praw boskich i czasów starych, czytania, pisania. Pani kazała w garderobie uczyć mię szycia sukień, pan wołał zawsze, ile razy dziecku co opowiadał i pokazywał.. wszystko im zawdzięczam, a teraz taki wypadek z córką ich w moim domu... ach. jak mię to martwi! Przy całej swojej dobroci, kiedy szło o rzeczy ważne, pan był trochę srogi. Martwiło go i gniewało, że Bronia nie była przy nauce bardzo uważną i że, jak powiadał, miała charakter płochy. Siteczkiem ją nazywał. „Czego nauczy się, powiada, to zapomni; za czem dziś przepada, tego jutro już nie pamięta; wszystko, powiada, przelatuje przez nią jak przez sito“. I prawda to była; my już, bywało, sługi, choć duże i proste nieuki, lepiej od niej zapamiętamy to, co od pana usłyszym, a na punkcie przywiązania i chęci i gustów, to u Broni jednego dnia dziesięć razy deszcz i pogoda: to umie, to nie umie; to kocha, to nie kocha; to chce, to nie chce. Sama żywość była w tem dziecku i sama pustota. Zresztą dobra, jak anioł; nikogo nigdy nie krzywdziła, ani obrażała; w razie potrzeby i możności każdemu dopomogła, tylko byle na razie, bo gdy jedna godzina minęła, ona już o czyjejś biedzie i o swojej obietnicy ani pamięta: co innego ją zajęło, bawi się, a kiedy bawić się zacznie — zgiń, świecie! Bronia w tamtę stronę ani spojrzy. Ja-bym tam może sama nie zauważyła i nie zapamiętała tego wszystkiego, gdyby pan czasem o tem nie mówił i za to jej nie gromił. Nad życie kochał on swoje „siteczko“, ale pomimo to zdarzało się nierzadko, że je karcił. Ona jednak, rzecz dziwna, do niego najwięcej była przywiązana, więcej nawet, zdaje się, niż do matki. Jakby w nim zbawienie swoje czuła, tak czepiała się go i małem sercem swojem i rękoma. Gdy, bywało, za szyję go obejmie i przylepi się mu do piersi, to już i do zabawy jej nie odwołać i łakociami, których jednak bardzo chciwą była, nie zwabić. Czasem, choć nie często, zajmowało ją nawet to, co on opowiadał. W jadalnym pokoju, dość dużym, wisiało na ścianach wiele portretów różnych dawnych ludzi. Pan o każdym z nich mówił: kto to był taki? jak się nazywał? kiedy żył? co robił? Ona te historje portretów lubiła daleko więcej, niż inne nauki, może dlatego, że i pan także w tych lekcjach większą, niż w innych znajdował przyjemność. Tak o tem, bywało, mówi. jakby najpiękniejsza muzyka grała, jakby słowami malował, a choć nie był już bardzo młody, oczy mu błyszczą, to jak węgle rozpalone, to jak gwiazdy przez mgłę świecące. Ona też, jak nasłucha się tych historji, jak

ich ponaucza się na pamięć, to potem z portretami temi odegrywa różne komedje. Sto pociech z dzieciny tej bywało! Dziesięć lat może miała, ale zabawne to było jeszcze, jak pięcioletnie dzieciątko. Bielutka, różowa, ze złotemi włosami, które pani codzień na loki zawijała, zgrabna, jak ta laleczka na sprężynach. Wchodzi, bywało, do jadalnego pokoju, dwoma paluszkami z każdej strony sukienkę troszkę podnosi i przed każdym portretem: dyg, dyg! z podniesioną główką aż do samej ziemi przysiada: „Dzień dobry! albo: „Dobry wieczór, panie taki, a taki! Jakże się pan miewa? Czy rany już nie bolą? czy akademja w Zamościu dobrze idzie? A ja wiem, ilu Turków pod Chocimem było i bardzo-bym chciała zobaczyć żywe wielbłądy! Tak żałowałam, tak żałowałam, kiedy pod Cecorą pana zabili, że aż rozpłakałam się, a tatko mnie cały może kwadrans całował! I pana także żałowałam bardzo, że pan utonął“.

Tak, bywało, przed każdym dyga i do każdego o czemś innem przemówić potrafi, a taka przytem milutka, że chciałoby się ją zjeść. Ze wszystkich przecież jeden portret najlepiej sobie upodobała, czy to dlatego, że pan o nim najpiękniej rozpowiadał, czy że najsilniejszemi kolorami był malowany: oto ten tam, co u mnie teraz wisi, tu... niech pan będzie łaskaw spojrzy, na tej ścianie, naprzeciw lustra. Kiedy odprawiałam się od państwa, a raczej od pani, bo pan nieborak już wtedy nie żył, hojnie mię obdarowano, a między innemi pamiątkami od nich mam i ten portret. Otóż Bronia do niego miała największą sympatję. Innym, bywało, raz tylko dygnie, a temu trzy razy i jeszcze główkę nizko pochyli: „Dzień dobry, panie Stefanie! Jaką ładną delję pan ma na sobie! Tatko mnie opowiadał, jak pan ślicznie tę rzekę przepłynął i co pan w Danji robił. Ja pana bardzo lubię. Kiedy do jadalnego pokoju wchodzę, zawsze mi się zdaje, że pan na mnie tak ładnie patrzy, jakby pan mię także bardzo lubił. Czy to prawda, że pan Bronię lubi?“ I okręciwszy się na paluszkach, śpiewając, główką kręcąc, wprost ojcu na kolana. „Jużem się, tatku, ze wszystkimi przywitała i wszyscy papatrzali na mnie tak ładnie, tak ładnie, ale najładniej patrzał pan Stefan“. Takie to było ucieszne, w szczęściu hodowane, ale niedługo, Boże mój kochany, niedługo! Państwo na majątku podupadać jakoś zaczęli, pan gryzł się, a że już i przedtem osobliwego zdrowia nie miał, więc zagryzł się i zszedł z tego świata. Pani, wiadomo, kobieta w interesach niedoświadczona i niczego sobie odmówić nieumiejąca, wprędce majątek do reszty w długi pogrążyła, tak, że już i utrzymać się na nim nie było sposobu; w biedę popadły obydwie z Bonią, która wtedy piętnaście lat miała. Ale gdzie im tam było biedę znosić: pani takiej delikatnej i chorowitej, panience rozpieszczonej i wesołości pragnącej! Krewnych bogatych miały w bardzo wielkiem mieście i proces jakiś, który im ci krewni wygrać przyrzekali; zabrały się tedy i pojechały. Ja wtedy odprawiłam się od nich, bo choć chciały mię z sobą zabrać, żal mi było wszystko swoje porzucić i wolałam tu biedę klepać, niż za siedmiu górami i rzekami w dostatki opływać. Przed wyjazdem Bronia była bardzo uradowana. Cieszyło ją, że w ogromnem mieście, w Peterburgu, zamieszka, że u bogatych krewnych wielkie salony i częste bale, że kiedy proces wygra, sama salon sobie urządzi i zawsze jak najpiękniej stroić się będzie; no, nic dziwnego, młode to takie było, prawie dziecko. Kiedy żegnała się ze mną, całowała mię, ściskała i płakała, ale o starym domu, który na zawsze była opuściła, o ojcu, przed dwoma laty zmarłym, już w niej ani wspomnienia nie było. Siteczko!

(C. d. n.)

JESIEŃ

Jesień, jesień — już opada
Wichrem zwiany liść,
Już się szmerem nie spowiada,
Szmerem liści osrebrzonych
Brzoza białokora;
Już żółknieje, czerwienieje
W lasach krzewów kiść,
Skłon błękitu mniej jaśnieje,
Przysłoniła go zwichrzonych
Chmur tkań różnowzora.

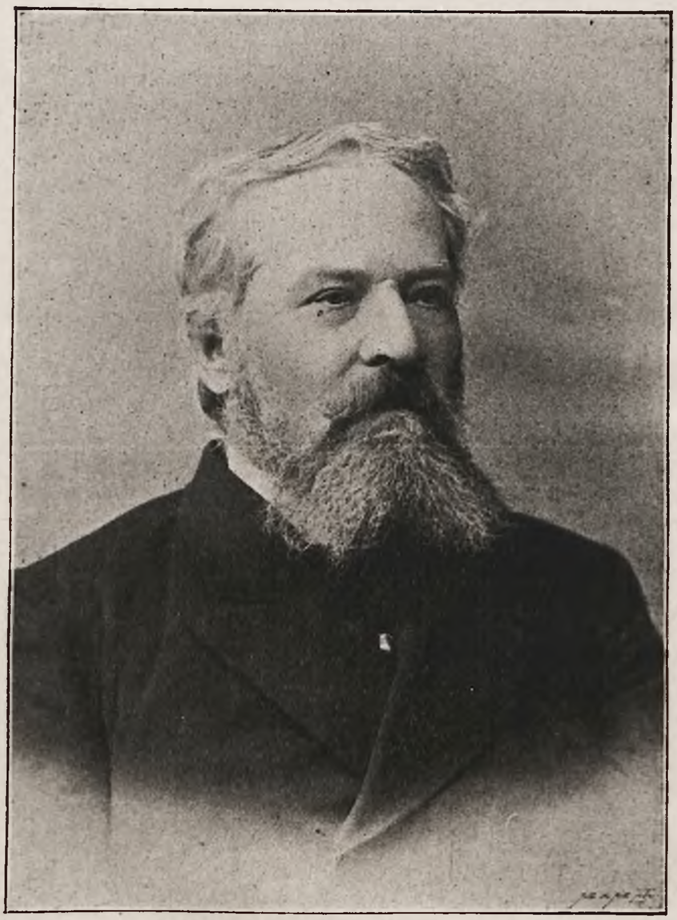
Jesień, jesień — nad polami
Nie skowrończy głos
Dzwoni pieśnią, lecz stadami,
Kracząc, lecą, wichrem bite,
Zziębłe wron gromady. —
Już się maki i bławaty
W blask nie stroją ros,
Zniknął kwiecia strój bogaty,
Znikły łany złotolite,
Spustoszały sady...

Jesień, jesień — wichru żale
Smutną nucą pieśń —
Nucą ziemi, że po szale
Skwaru słońca, po pieszczotach
Przyjdzie, przyjdzie żal —
Że ją zima w kleszcze chwyci,
W wąskich koryt cieśń
Zwiedzie strugi, że nasyci,
Cisnąc w ramion swoich splotach,
Lodem łono fal...

Jesień, jesień — tak zawodzi
Wicher pośród pól —
W lasy wpada, w drzewa godzi,
Liście zrywa, gnie konary,
Szyderczo się śmieje —
Ziemia słucha, w smutku tonie
Czuje trwogę, ból —
W tem się budzi w ziemi łonie
Bunt i słowa te w bezmiary
Rzuciwszy, drętwieje:

»Jesień, jesień, potem zima —
Tak jest, wichrze, tak!
Lecz ja duszę mam olbrzyma,
Nie poddaję się boleści,
Nie poddaję, nie!
Wszak po zimie wiosna wróci,
Znów zaśpiewa ptak,
O słoneczku mi zanuci,
Dzień roskoszy mi obwieści...
Zbudzę, zbudzę się!«...

Zdzisław Art.



Kornel Ujejski.

Przyczynki do biografji Ujejskiego.

Już po wydaniu listów Ujejskiego, które czytelnik znalazł w dwóch poprzednich numerach „Tygodnia“, otrzymałem od pani Wilhelminy z Bartów Juljuszowej Niedźwiedzkiej list poety do jej męża, z którym Ujejskiego łączyły blizkie stosunki. List, podany poniżej, jest ułamkiem częstszej korespondencji, która, niestety, w całości zaginęła. Że ten jeden jej ułamek skwapliwie ogłaszam, usprawiedliwieniem niech mi będzie prześliczna treść tego listu, w którym poeta z przedziwną szczerością wypowiada poglądy swe na zadania literatury i sądy o niej.

Słówko jeszcze o tym, do kogo list był adresowany. Juljusz Niedźwiecki z Meteniowa w Złoczowskiem, więzień stanu z r. 1863 (od 4. kwietnia do 7. grudnia t. r. przesiedział w więzieniu we Lwowie) zajmował się gorliwie literaturą. Od r. 1860 do 1863 był współpra-

cownikiem „Gazety narodowej“, w której prowadził dział, noszący napis: „Ziemie polskie“. Dostarczał także temu pismu korespondencji ze Złoczowa, gdzie później zamieszkał. W wydaniu książkowem wyszły tylko „Szkielety Holbeina, powieść społeczna“ (Lwów 1861. z drukarni E. Winiarza 8° T. I. str. 295, II. 257). Postacie do tej powieści, niepozbawionej wartości, wzięte były z życia do tego stopnia, że wiele osób ze Złoczowskiego umiało palcem wskazać osoby, sportretowane przez autora. Żył Niedźwiecki w przyjaźni także z Józefem Dzierzkowskim, który mu ułatwiał stosunki ze światem literackim lwowskim. Umarł w Złoczowie dnia 6. lipca 1867 r. Niektórych szczegółów w liście Ujejskiego nie umiemy na razie wyjaśnić.

* * *

Kochany Juljuszu!

Przepraszam Cię najprzód za tak długie milczenie. Twój list nie zastał mnie, bo byłem w Krakowie. Wróciwszy, zatrudniony byłem napisaniem Prologu dla nowo otwierającej się sceny polskiej,[1]) z którym wyjechałem do Lwowa, gdzie znowu różne podjazdowe walki z cenzurą, a zajęcia drukarskie i zakulisowe zatrzymały mnie przez kilka tygodni. Wczoraj dopiero wróciłem do Medyki,[2]) więc przy otrzymanej swobodzie zaczynam od odpisu na Twoje dwa listy.

Z listu Twego pierwszego wieje dużo żalu i goryczy. Przykro mi, iż je wywołałem, o ile mi się zdaje, moim listem do Ciebie. Nie zrozumiałeś mię, mój drogi Juljuszu, jeżli mogłeś w Swojej odpowiedzi wykrzyknąć do mnie słowem: I ty mię nie znasz, i ty mię nie pojmujesz! Znam i pojmuję Ciebie. Jeżeli masz we mnie przyjaciela (a chciałbym, abyś w to wierzył) to dlatego, że Cię znam, że wiem, że pod Twoją kolczatą, kasztanową łupą jest owoc słodki i pożywny. Więc i Ty nie maluj się przedemną czarno, nie stawiaj się, jako chłosta-szatan, bo się sam łudzisz.

Wykazałeś przedemną w Swoich próbach literackich tyle talentu, że go bez miłości, bez przebaczenia objawić nie potrafiłbyś. Jeśli Cię Pan Bóg puścił drogami życia, po których szedłeś przez osty, a ocierałeś się o pokrzywy, to może na to, abyś nabytem doświadczeniem uczył ludzi obrzydliwości i szkodliwości tych roślin, a sam, bardziej pojętniejszy na woń fijołkową i piękność lilji, stawiał im żywiej przed oczy czary anielskich kwiatów. Wierz mi, mój Drogi! iż tylko w miłości jest źródło wszelkiego dobrego natchnienia i tej twórczości, co ma nieśmiertelność. Trzeba stać, grzać i świecić jak słońce, nie przelatywać mgłami, choćby one miały w sobie kolory tęczy. Mogą one nieraz zadziwić, ale znikną. *Beaucoup connaitre c'est beaucoup pardonner.*

Wiem ja o tem, iż na niektóre choroby ludzkie potrzeba nieraz ostrego noża, albo trucizny. Ale kto jedno, albo drugie używa, niechże ma na celu leczenie. Znasz zapewne Heinego i Börnego. Obydwa wojowali jedną bronią; ale pierwszy był tylko egoistą, a drugi był człowiekiem miłującym. Ironja i sarkazm obydwóch płynęły z jednego źródła: z gigantycznego bólu; tylko Heine bolał nad sobą, a Börne cierpiał we wszystkiem, cierpiał za wszystkich.

Więc mój drogi Juljuszu! w powieściach Twoich przy całej jaskrawości odwrotnej strony społeczeństwa niech przebija miłość Börnego, bo inaczej wyczerpiesz się prędko z tem uczuciem, że i to, co dałeś, nie przyczyniło się do zdrowia chorych ludzi. Dlaczegoż tylko listownie rozmawiać ze sobą możemy! W rozmowie prędko porozumielibyśmy się i poznałbyś, żem Ci nie krzyw, że Cię fałszywie nie sądzę, że moje słowa mają dźwięk serdecznego .... [3]) Ja w Medyce zamieszkałem stale przynajmniej do czasu, w którym wyjadę za granicę, a ten mój projekt zapewne się odwlecze. Przy dogodnej więc sposobności przyjedź do mnie, a bardzo mnie ucieszysz.

Za dedykację Twojej powieści[4]) serdecznie Ci dziękuję. Będzie ona drogą dla mnie pamiątką poznania się z Tobą.

Żałuję mocno, iż tą razą nie mogę być pomocnym panu Romerowi. Wszystkie posady w dobrach Pawlikowskiego są zapełnione, a główna posada komisarza zajęta już jest od dwóch lat przez człowieka, z którego Pawlikowski nader jest zadowolony, bo inaczej być nie może, bo to człowiek rzadki pod każdym względem. Jeźlibym się dowiedział o jakiem innem stosownem miejscu dla pana Romera, nie zaniedbam Ci donieść.

Ściskam Cię serdecznie, kochany Juljuszu,
Twój szczery przyjaciel *K. Ujejski.*

Medyka, dnia 6. października 1857 p. Szechynie.

J. A. Sierpniak.

---

[1]) Ob. Poezje Kornela Ujejskiego. Lipsk, Brockhaus 1866. II. 184—188. Por. Pepłowski: Teatr polski str. 257.

[2]) mieszkał tu przyjaciel poety, Mieczysław Pawlikowski.

[3]) Tu w oryginale listu kilka słów tak zatartych, że ich nie sposób odczytać.

[4]) Szkielety Holbeina.

Rozbiory i sprawozdania.

Mikołaj Niedźwiecki. — *Powiat podhajecki* pod względem geograficznym, statystycznym i historycznym — z dołączeniem mapy. Nakładem autora. Z drukarni J. Dankiewicza w Stanisławowie 1896 r.

P. Niedźwiecki, mający, jako nauczyciel ludowy, wiele sposobności do poznania dokładnego powiatu, w którym mieszka — opisał nam ten, tj. podhajecki powiat w książce o 192 stronicach druku. Pracę swoją podzielił na dwie części, pierwszą ogólną i drugą szczegółową z opisem poszczególnych wsi i miasteczek powiatu.

W pierwszej części zajmuje się autor przedewszystkiem geografją powiatu podhajeckiego, która jest już z tego choćby tylko względu interesującą, że powiat ten leży na granicy między właściwem terytorjum b. Czerwonej Rusi a — wyżyną podolską i wskutek tego, dzieli się, co słusznie p. N. podnosi na dwie nierówne części: zachodnią — górzystą i lesistą — i wschodnią — wyżynną, bezleśną, krótko powiedziawszy — »podolską«. Różnica układu terenu, urodzajności gleby i klimatu wpłynęły, jak z przedstawienia autora widać, na nierównomierne ukształtowanie się stosunków ludnościowych i ekonomicznych. Część zachodnia jest wogóle mniej zamożną, natomiast ludność jest pracowitszą, podczas gdy w żyznej podolskiej glebie części drugiej chłop lubi się spuszczać na urodzajność swego gruntu, ma się stosunkowo dobrze, jest więcej hardy — acz mniej, jak w części zachodniej pracowity i zapobiegliwy. W ogólnym etnograficznym szkicu jest p. N. (str. 38—53) mniej dokładnym; na usprawiedliwienie go może to chyba posłużyć, że mamy przed sobą rozprawkę t. zw. krajoznawczą, a nie specjalnie ludoznawczą.

W drugiej tj. szczegółowej, topograficznej części swej rozprawki stara się autor o dokładne daty statystyczne takie, jak ilości morgów ziemi, bydła, szkół, dzieci, uczęszczających w poszczególnych gminach do szkoły i t. p. Jestto niezaprzeczalna zaleta całej rozprawki; szkoda, że autor w statystyce tej nie jest jeszcze dokładniejszym. Najlepiej i najszczegółowiej opisuje p. Niedźwiecki miasto Podhajce, stolicę powiatu; spostrzeżenia etnograficzne — wogóle tak, jak w części ogólnej — mniej dokładne.

Dobrze jest, że autor — jako nauczyciel ludowy, podnosi wysoko znaczenie oświaty ludowej dla podniesienia dobrobytu ekonomicznego ludu w powiecie podhajeckim, ale w ocenianiu tego wpływu oświaty poszedł autor za daleko i przez to przeoczył, że dobrobyt, jako taki, musi być przedewszystkiem zależnym od przyczyn równie — jak on sam gospodarczych, wobec których choćby najlepsza oświata ludowa jest tylko środkiem pomocniczym, acz nie zaprzeczamy, że — środkiem takim nader ważnym i często nawet rzeczywiście — decydującym.

Dr. J. K. G.

Przegląd pism.

Prasa zajmuje się żywo w obecnej chwili Arnoldem Böcklinem, którego siedmdziesiątą rocznicę urodzin świat artystyczny święcił 16. bm., — a pisma obrazkowe podają liczne ilustracje, odnoszące się do genjalnego malarza. Karty naszego »Tygodnika Ilustrowanego« naprzykład zdobią: wyobrażenie willi i pracowni Böcklina w okolicach Florencji, medalu jubileuszowego artysty oraz jego portretu własnego. Ten ostatni niema chyba podobnego sobie w dziejach malarstwa. Böcklin przedstawia tu siebie przy pracy. W lewej ręce trzyma paletę z farbami, w prawej pendzel, który właśnie chce umaczać w farbie, aby ją uwiecznić w jednem ze swych arcydzieł. I oto w chwili twórczego natchnienia, kiedy »czuje nieśmiertelność i nieśmiertelność tworzy«, wsuwa się do jego pracowni — śmierć. Stąpając cicho, bez szelestu, zbliża się do malarza i zwiesza poufale nad jego ramieniem. On się tem zjawiskiem nie przeraża. Rozumie jego konieczność, a zarazem wie, że sam żyć będzie wiecznie w dziełach swego ducha. Nie cofa się więc przed śmiercią, nie raczy nawet na nią spojrzeć, lecz opiera energiczną głowę o jej czaszkę ohydną i patrzy spokojnie w dal w przyszłość. A śmierć, zadowolona snać z niezwykłego przyjęcia, wyszczerza doń zęby w potwornym uśmiechu i kościstą ręką przegrywa mu na skrzypcach swój hymn zniszczenia, którego artysta słucha uważnie, ale z marmurową twarzą.

Pomysł godny Böcklina!

O życiu artysty krócej można mówić, niż o każdym z jego obrazów. Zamyka się ono w trzech słowach: walka, cierpienie, tryumf!

Syn fabrykanta wyrobów jedwabnych, Böcklin musiał w pierwszym rzędzie walczyć z najbliższem swem otoczeniem, które go nie rozumiało i widziało w nim jedynie marnotrawnego syna. Potem dziwaczna, bujna jego natura buntowała się przeciwko dyscyplinie szkolnej, nie dając się nagiąć do jej szablonu, — a jeszcze później straszniejsza od śmierci nędza próbowała wytrącić mu pendzel z ręki. Ale artysta był z rodu niezwyciężonych. Duch jego szamotał się, rwał w matni, lecz nie dał się złamać, potrafił wzlecić na szczyty, których nie przesuwa proch ziemi.

Pierwszym głośniejszym jego tryumfem było arcydzieło, przedstawiające »Bożka Pana w trzcinie«, — arcydzieło, zakupione przez króla Ludwika bawarskiego, — za niem poszły inne, imię Böcklina stało się głośnem w Europie, sława zawitała do pracowni artysty.

On ją przyjął spokojnie, jak ową śmierć na obrazie. Kto wie, może i na nią nie zwrócił promiennych oczu, zapatrzonych w cudne oblicze jedynej kochanki — sztuki.

M. W.

Z drukarni Z. Golloba.